

JANUSZ PRZYTOCKI

# Z BIEGIEM MARZEN



Z KANAPOWCA NA SPORTOWCA

**Z BIEGIEM  
MARZEŃ**  
**(darmowy fragment)**

Janusz Przytocki

# **Z BIEGIEM MARZEŃ**

Z kanapowca na sportowca

**(darmowy fragment)**

Tytuł: Z biegiem marzeń

Podtytuł: Z kanapowca na sportowca

Autor: Janusz Przytocki

Copyright by Janusz Przytocki

Redakcja: Magdalena Kosińska

Projekt okładki: Iwona Piśmienny-Ścibor

Rysunki: Joanna Przytocka

ISBN 978-83-946430-0-3

Wydanie I

Kłodzko 2017

Wydawca: INTERTECH JANUSZ PRZYTOCKI

Pl. Bolesława Chrobrego 33/6; 57-300 Kłodzko

e-mail: [ksiazka@zbiegiemarzen.pl](mailto:ksiazka@zbiegiemarzen.pl)

**Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci jest zabronione i powoduje naruszenie praw autorskich.**

## SPIS TREŚCI

1. Łądek-Zdrój . . . . .	11
2. Kanapowiec-nieruchawiec . . . . .	17
3. Przełęcz Płosczyzna . . . . .	29
4. Tempo konwersacyjne . . . . .	47
5. Międzygórze . . . . .	60
6. Sprzęt . . . . .	71
7. Długopole . . . . .	87
8. Zasada 10 stopni Celsjusza . . . . .	101
9. Jagodna . . . . .	114
10. Łatwy, łatwy, trudny . . . . .	124
11. Masarykowa Chata . . . . .	138
12. Dieta . . . . .	148
13. Jamrozowa Polana . . . . .	161
14. Nudy brak . . . . .	169
15. Kudowa-Zdrój . . . . .	182
16. Gimnastyka rozciągająca . . . . .	194
17. Pasterka – Szczeliniec . . . . .	208
18. Siła biegowa . . . . .	219
19. Ścinawka Średnia . . . . .	228
20. Kros . . . . .	238
21. Przełęcz Wilcza . . . . .	250
22. Pierwsze zawody . . . . .	263
23. Bardo . . . . .	282
24. Półmaraton . . . . .	293
25. Przełęcz Kłodzka . . . . .	311
26. Boston . . . . .	320
27. Orłowiec . . . . .	336
28. Wzgórze Złamanych Serc . . . . .	345
29. Łądek-Zdrój . . . . .	358
<b>Podziękowania . . . . .</b>	<b>369</b>

## 7. Długopole

Przeszedłem przez furtkę międzygórskiego GOPR-u i trzymając się jedną ręką barierki, kuśtykałem po schodach w dół. Jeden stopień za drugim, a przy każdym z nich moje czwórki dawały do zrozumienia, że mają już kompletnie dość.

– Super – pomyślałem – przebyłem może jedną piątą trasy, a nogi już mają dość.

Zszedłem na dół. Przy namiocie z jedzeniem i pić krzżeli się wolontariusze i zawodnicy. Część z wolontariuszy pomagała napełnić bukłaki i bidony zawodników, a pozostali albo dolewali wodę i colę do zielonych baniaków, albo zajmowali się rejestracją docierających do punktu napieraczy.

– Cześć kochanie – podbiegła do mnie żona z nowym plecakiem w ręce.

– O rany, serio udało ci się obrócić? – zapytałem.

– Nie było łatwo, ale na szczęście nie mamy kwatery zbyt daleko, no i na drogach jest mały ruch o tej godzinie.

– Fakt – odpowiedziałem i zacząłem przepakowywać się z jednego plecaka do drugiego.

– Co ci nalać do bidonów?

– Do jednego colę, a do drugiego wodę, poproszę. A gdzie reszta #Tomasz TEAM?

– Zostali na parkingu, przy samochodzie. Wszyscy są już potwornie zmęczeni i praktycznie zasypiają w aucie. Nasza Klaudia już też padła. Wszyscy się zastanawiają, jak ty w ogóle dajesz radę i jednocześnie jeszcze biegniesz.

– Spokojnie, godzina jest jeszcze młoda, jaja to się zaczną później.

– W Długopolu nas nie będzie i na Jagodnej zapewne też – powiedziała żona.

– Musimy trochę odespać, by mieć siły ganiać za tobą jeszcze przez cały kolejny dzień i kolejną noc.

– Ok, nie ma sprawy. Na przepaku w Długopolu mam suche buty, to je zamienię. Mam nadzieję, że do tego czasu nie poobcieram nóg. Teraz tylko wymienię te skarpetki na nowe, suche. Jakbyś mogła na Masarykową też przywieźć kolejne skarpetki, to byłoby git. Boję się, że za Jagodną też może być taki fragment pełen błota.

– To koniecznie uważaj tam na siebie – zaniepokoiła się żona i przytuliła się na pożegnanie.

– Będzie gites, zobaczysz. Jedźcie się wyspać, ja coś teraz zjem i muszę lecieć dalej. Szkoda czasu. Do zobaczenia na trasie, kochanie – odpowiedziałem i poszedłem coś przekąsić.

Założyłem na plecy przepakowany plecak, do przednich kieszeni umiejscowionych dokładnie na piersiach włożyłem bidony z pić. Za namiotem siedzieli na trawce dwóch moich dobrych znajomych w czerwonych koszulkach. Zajadali jakieś dziwne kanapki zapakowane w biały papier. Wszystko wyglądało tak

jakby przynieśli sobie z domu drugie śniadanie. Ich bose stopy leżały na ziemi obok suszących się butów i skarpetek.

– Jak tam piknik, panowie? – zapytałem trochę zgryźliwie, bo już sam nie wiedziałem, czy bawimy się w jakąś zabawę, czy co? Może to jest jakaś dodatkowa kategoria, o której nie wiedziałem: „100 dodatkowych punktów za bezsensowne tracenie czasu na punkcie i późniejsze histeryczne jego nadrabianie na trasie”.

– Nie przejmuj się i tak cię niedługo wyprzedzimy – odpowiedział jeden z uśmiechem na twarzy i puścił oko do siedzącego obok kolegi.

– Super – pomyślałem – jak macie ochotę bawić się, to proszę, ale beze mnie – tu złapałem garść jedzenia i wybiegłem z punktu po brukowanej kostką drodze.

– Nie będę tracił tu ani chwili – zresztą im mniej czasu spędzałem na punkcie, tym szybciej teoretycznie mogłem dotrzeć do mety.

Biegłem już teraz asfaltem prowadzącym delikatnie w dół. Z prawej strony miałem barierki i rzekę, a z lewej stok jakiejś góry. Truchtałem powoli oświetlony żarowym światłem lamp ulicznych i zajądałem to, co udało mi się zabrać z punktu.

– Nie dam się już złapać – snułem wewnętrzne rozważania. – Taka taktyka na kangura raczej nie jest najlepsza. Chłopaki lecą na zbity pysk, ryzykują na niebezpiecznych biegach, traktują nogi po to, by później zmarnować ten czas na punkcie. To totalnie bez sensu. Jeżeli między startem a metą jest tu takich punktów 15, to zmarnowany kwadrans w każdym z nich daje stratę.... Yyyy – już z moją głową nie było najlepiej – 225 minut. Jasny gwint, to prawie 4 godziny straty. Koszmar.

Truchtałem dalej w dół, aż dobiegłem do parkingu znajdującego się po prawej stronie drogi. Czekala na nim na mnie reszta #TomaszTEAM i już z daleka wołała:

– To Tomek?

– Tak, to on...

– Tomek, Tomek, Tomek.. Dawaj, dawaj...

– Jesteś osiemnasty...

– Co? Serio? – zrobiłem wielkie oczy. – Ja? Osiemnasty? Ale czad...

– Leć dalej, tylko uważaj. Jak dobiegniesz do miasta i będziesz zasuwał taką kostką brukową, to nie skręcaj w lewo główną ulicą na most, tylko leć prosto. To tam jest czerwony szlak. Między budynkami musisz biec, a nie na most.

– Skąd wiecie?

– Bo minęliśmy tam kilka osób klnących pod nosem.

Nie było oczywiście czasu na pogaduchy, więc poleciałem dalej. Tym bardziej że tym razem miałem silne postanowienie nie dać się dogonić Kangurom. Co chwilę oglądałem się za siebie, ale na szczęście nie było ich widać.

Dobiegłem do centrum Międzygórza, o ile tak można nazwać to miejsce. Wbiegłem na kostkę brukową i w mojej głowie zapaliła się jakaś czerwona lampka. Dosłownie jak u Dory z bajki „Gdzie jest Nemo?”, w słynnej scenie przed przesmykiem:

– Coś mi mówi, że mam nie biec przez most, tylko prosto – w mojej głowie pojawiła się myśl. – Coś mi mówi, że mam nie biec przez most, tylko prosto.

– No oczywiście... – obudziłem się nagle jakby z letargu albo może i snu – przecież pięć minut temu o tym rozmawiałem na parkingu, czyżbym już się wyłączył?

Pobiegłem prosto i dobiegłem do....

– Boże... nie... – ręce mi opadły – znowu schody. Ile może tu być tych schodów? Zacząłem się na nie wdrapywać. Po lewej barierka, a za nią rzeka i Wodospad Wilczki. Sam już nie wiedziałem, jak mam się na nie wspinać. Najpierw próbowałem mocno pracować kijkami, ale niewiele to dało. Potem przełożyłem kijki do prawej ręki i próbowałem wspomagać się barierką. Nic nie pomagało. Schody sprawiały wrażenie nieskończonych. Wdrapywałem się na nie krok po kroku i przypominałem sobie, jak to jeszcze kilka lat wcześniej walczyłem ze schodami, wracając za każdym razem do domu.

– Tu chyba też będę musiał zrobić przystanki na półpiętrze – pomyślałem i zatrzymałem się na chwilę.

Kilka sekund później dogoniła mnie dwójka Kangurów. Światła ich czołówek pojawiły się nagle za moimi plecami. Przeskakiwali kilka schodów na raz, jak prawdziwe kangury, a mijając mnie, pokleпали mnie po plecach.

– A nie mówiliśmy, że cię dogonimy... – usłyszałem i chwilę później światła ich latarek zniknęły za kolejnym zakrętem.

– Chyba przestaje mnie to bawić – pomyślałem, ale nie miałem nawet odrobiny siły, by przyspieszyć. – Jak jeszcze kiedyś w czasie jakiejś wycieczki zobaczę czerwony szlak, to chyba zemdleję.

Powoli przesuwalem się do góry, schodek za schodkiem, aż w końcu dotarłem do tego ostatniego. Nic nie było w stanie bardziej mnie w tamtej chwili uszczęśliwić. Skręciłem w prawo i w końcu mogłem truchtać tak jak na ultrasa przystało. Droga była szeroka, twarda i nogi bardzo sprawnie się po niej przesuwały. W pewnym momencie droga zmieniła się w ścieżkę. Drzewa i krzaki, oddalone do tej pory ode mnie, bardzo niebezpiecznie zaczęły się przybliżać i ocierać się o moje ubranie. Miałem nawet wrażenie, że głaskają mnie po głowie, a ja machając rękami, przedzieram się przez jakąś dżunglę.

Po lewej stronie usłyszałem długi i głośny skowyt.

– I do tego jeszcze wilki jakieś! – przypomniałem sobie słynną scenę z filmu „Nic śmiesznego”, ale na szczęście w okolicy nie było żadnej budki telefonicznej. Zwierzę wyło coraz głośniejsze, a ja miałem coraz większe wątpliwości.

– A może to naprawdę jest wilk? – prowadziłem wewnętrzny monolog.

– Nie, tu w okolicy nie ma przecież żadnych wilków. To na pewno jest pies – zacząłem sam siebie uspokajać. – Tak, to taki biedny pies. Zamknęli go w jakiejś klatce i wyje teraz, biedaczyna.

– A co będzie, jak jednak zaraz wyskoczy? – odezwała się bardziej mroczna strona. – A co zrobisz, jak naprzeciwko siebie zobaczysz w lesie dwa białe ślepie patrzące prosto na ciebie?

– O rany, tylko nie ślepie! – zacząłem odganiać swoje straszne myśli. – Jejku, błagam tylko nie ślepie – powtarzałem sobie w kółko.

Nic mnie w tamtej chwili tak nie przerażało, jak myśl o możliwości rozbłyśnięcia przede mną pary oczu. Przebijałem się przez gąszcz zarośli i za każdym razem, gdy odgarniałem je ręką, w mojej głowie pojawiała się myśl:



– Żeby tylko nie było tam żadnego potwora, bo od razu dostanę zawału. Z drugiej strony, przed chwilą biegły tędy dwa znajome Kangury. Skoro nigdzie nie widać śladów krwi, to na pewno wszystko z nimi w porządku. Zresztą, pewnie spłoszyliby takie zwierzę – myślałem i z tą myślą w głowie dotarłem w pobliże góry Igliczna. Zrobiłem zawrót o 180 stopni i po asfaltowej drodze zacząłem zbiegać w dół.

– Tak to można napierać – myślałem. – Ogień i do przodu. Niech ci co są za mną, nie myślą, że tanio sprzedam skórę. Oj nie.

Włączyłem piąty bieg, złapałem kijki w połowie i leciałem z góry najszybciej jak mogłem. Po prawej wysoka góra, po lewej ostre zbocze. Machałem nogami tak szybko jak to możliwe. Wokół panowała piekielna cisza przerywana jedynie miarowymi uderzeniami butów o asfalt. Uderzenie powtarzało się za uderzeniem jak mantra, jak modlitwa. Raz, dwa, raz, dwa, buty szurały miarowo o drogę, a ja biegłem w dół jak zahipnotyzowany. Czołówka oświetlała jedynie fragment drogi i metalową barierkę. Nic więcej nie było widać. Tylko drogę.

– Właśnie! – momentalnie otrzeźwiałem. – A dlaczego nie widać oznaczeń trasy? Gdzie one są? – zacząłem w panice rozglądać się dookoła. Zwolniłem, ale nie przestałem biec dalej.

– Gdzie one są do cholery! Błagam, niech się zaraz pojawią – zwolniłem jeszcze bardziej i przeszedłem do truchtu. Do ostatniej chwili miałem nadzieję, że po prostu ich nie widzę, że jestem już tak zmęczony. Niestety, oznaczeń trasy nie było ani sto, ani dwieście metrów dalej.

– Niech to szlag, człowiek pozwole sobie na odrobinę rozluźnienia o drugiej w nocy i od razu wtopa. Trudno, trzeba będzie zawrócić.

Zatrzymałem się i jeszcze raz na wszelki wypadek rozejrzałem się dookoła, ale nadaremno. Zawróciłem. Złapałem kijki za rękojęści i zacząłem iść ulicą pod górkę, do ostatniego widzianego oznaczenia trasy.

– Ha – zarzucałem sobie – ciekawe, ile będę musiał teraz nadrobić.

W takiej sytuacji chyba najgorsze jest uczucie zagubienia. Jesteś sam, pośrodku niczego, nie wiesz, w którą stronę masz iść i nawet nie możesz być do końca pewny, czy się zgubiłeś. Może wcale się nie zgubiłeś, może napierasz we właściwym kierunku, tylko oznaczenia szlag trafił. Kto wie? Czasem ulewa może przecieżyć zmyć oznaczenie z drogi, które maluje się tutaj żółtą, ekologiczną farbą, która sama uległa biodegradacji po zawodach. Czasem wiatr może zerwać z drzewa żółtą taśmę znaczącą trasę.

– Może tak się stać, ale dlaczego akurat teraz, gdy na chwilę straciłem koncentrację? – biłem się z własnymi myślami, podczas ostrego powrotnego napierania.

Doszedłem do mijanego niedawno skrzyżowania. Na poboczu stał turystyczny znak.

– No tak... zielony szlak w prawo, czerwony w lewo.

Podszedłem do miejsca, w którym czerwony szlak powinien skręcać w prawo w las.

– Wszystko ok, tylko dlaczego nie ma oznaczenia trasy – zastanawiałem się. Spojrzałem pod nogi. Na asfalcie był niemal niewidoczny ślad po strzałce wykonanej

żółtą farbą. Jednak jego „niewidoczność” nie wynikała z wczorajszej ulewy, ale jakby ktoś specjalnie próbował zetrzeć farbę, szurając po niej butami.

– Niech go drzwi ścisną – rzuciłem półgłosem. – Ciekawe, ile straciłem? – spojrzałem na nadgarstek. Od czasu gdy zorientowałem się, że coś jest nie tak, minęło może 10 minut.

– Uff, to jeszcze nie tak wiele, łącznie ze zbiegiem w dół straciłem może 15 minut. To jeszcze nie tragedia, ale żartownisiowi sztuczka się udała – pomyślałem i ruszyłem czerwonym szlakiem w dalszą drogę, tym razem mocno skoncentrowany na oznaczeniach trasy. Były. Długie, żółte plastikowe wstążki zwisające co kilkadziesiąt metrów z pobliskich gałęzi.

Po mniej niż dwóch kilometrach zbiegu dotarłem do oświetlonej asfaltowej drogi. Światła latarni widziałem już z daleka. Pod jedną z nich stał biegacz w żółtej koszulce z długim rękawem i rozciągał mięsień czworogłowy lewej nogi. Jedną ręką opierał się o metalowy słup latarni, a drugą trzymał lewą stopę przytuloną do pośladka. Na jego twarzy widać było grymas bólu i totalnego niezadowolenia. Co chwilę prostował nogę i sprawdzał, czy skurcz przeszedł już na tyle, że można kontynuować bieg. Skurcz nie przechodził.

– Wszystko w porządku? – spytałem.

– Tak, daję radę, dzięki – odpowiedział.

– Widziałeś, że ktoś jakby próbował zetrzeć ślady oznaczeń? – zapytałem.

– No zdarza się, nic na to nie poradzisz, dlatego na wszelki wypadek zawsze mam przy sobie zegarek z wgraną trasą biegu.

– I co, wytrzyma ci na baterii całe zawody? – zapytałem.

– Nie ma takiej możliwości. Moja busola wytrzyma maksymalnie 17 godzin. Dlatego zazwyczaj biorę ze sobą powerbank. Tylko tym razem z niego zrezygnowałem i zegarek mam wyłączony.

– A po kiego ci wyłączony zegarek?

– Tak na wszelki wypadek, jak się zgubię, to go włączę. Fakt, trochę to trwa, zanim się uruchomi i wgra trak, ale to i tak lepsze niż latanie w nocy na ślepo po lesie – odpowiedział.

– Może i tak – odpowiedziałem i pognałem dalej.

Po kilkuset metrach czerwony szlak skręcił z asfaltu w polną drogę i prowadził teraz między polami. Takie przynajmniej odnosiłem wrażenie, biegnąc w środku głuchej i ciemnej nocy z latarką przyczepioną do głowy. Droga prowadziła niemalże prosto i pożegnała czerwony szlak, który odbił w pewnym momencie lewo. Biegłem i biegłem, oglądając się za siebie co jakiś czas. Nikogo za mną nie było. Widocznie kolega w żółtej koszulce nie poradził sobie ze skurczami.

– Dziwne – pomyślałem – biegnę już dobre dwa kilometry, idealnie prostą drogą. Gdyby ktoś był za mną, na pewno widziałbym światło jego latarki. Nikogo jednak tam nie było.

Obejrzałem się jeszcze raz dla pewności. Ani żywej duszy. Spojrzałem przed siebie i serce mi zamarło. Kilkadziesiąt metrów przede mną na drodze znajdowały się wpatrzone we mnie dwa zielone ślepie. Przełknąłem ślinę z przerażenia. One naprawdę tam były i patrzyły na mnie. Moja czołówka była na tyle silna, że jej światło

odbijało się w tych przerażających oczach, ale na tyle słaba, że widziałem jedynie zarys, cień obserwującej mnie istoty. Zamarłem. Nie miałem nawet odwagi ruszyć latarką, by nie wywołać gwałtownej reakcji czegoś, co swoim cieniem przypominało diabła tasmańskiego. Niskie, okrągłe ciało o owalnym kształcie, z oczami na wysokości około dwóch trzecich, utrzymujące się na parze bardzo krótkich nóg.

Zrobiłem krok do tyłu i jak bohater niskobudżetowego horroru nadepnąłem nogą na suchą gałąź, która trzasnęła głośno, pękając pod naporem buta. Zamarłem znowu. W tym momencie zza pierwszego diabła tasmańskiego wysunęła się druga para równie przerażających ślepi.

Nie wytrzymałem i obejrzałem się do tyłu w nadziei, że zobaczę za sobą choćby jedno światełko czyjejs czołówki. Niestety, byłem sam i znikąd nie mogłem oczekiwać ratunku. Spojrzałem ponownie na przerażające cienie i moje serce przestało bić. Miałem przed sobą już trzy pary wpatrzonych we mnie oczu, które nie dość, że zaczęły iść w moim kierunku, to na dodatek wystawiały w moim kierunku swoje ręce, jakby chciały mnie złapać.

– Normalnie zaraz mnie zeżrą! – pomyślałem. – Co to ma być? Przecież ja nie wierzę w duchy, a w UFO porywające ludzi tym bardziej.

Potwory były już coraz bliżej. Nagle przypomniałem sobie o telefonie w lewej kieszeni plecaka. Starłem się sięgnąć ręką, ale nie byłem w stanie go wyczuć.

– Muuuuuuu – odezwała się pierwsza istota, a za nią kolejne. – Muuuuuuu.

– Niech to szlag!!! – pomyślałem. – Krowy.

Cały czas stały przodem do mnie, więc ich ciało przypominało owalny kształt wsparty na dwóch nóżkach. Natomiast owe przerażające ręce to były ich rogi, które stały się widoczne dopiero, gdy stado znalazło się wystarczająco blisko.

Zacząłem iść w ich kierunku, jeszcze do końca nie wierząc w cudowne ocalenie z rąk kosmitów. Minąłem idącą spokojnie jedną krowę, potem drugą i kolejne. Na końcu szedł podchmielony „gospodorz”.

– No, co on tak patrzy dziwnie, z zagrody pouciekały. Co? Miałem ich nie łapać? – powiedział i poszedł.

– Niech go szlag!!! – powtórzyłem i nie chodziło mi o te zmarnowane kilka minut, ale o to, że przez te parę chwil patrzyłem w oczy śmierci.

Nie wiem, jak długo biegłem jeszcze przed siebie, zanim dotarłem do szosy, ale stres zszedł ze mnie tak gwałtownie, że miałem wrażenie totalnego zaniku zasilania. Ta sytuacja musiała kosztować mnie strasznie dużo energii. Na dodatek prosty i monotony fragment trasy po asfaltowej drodze ciągnął się i ciągnął, aż zachciało mi się spać.

– Czego się spodziewać o 2 w nocy, jak nie chęci, by się zdrzemnąć? – pomyślałem.

Zresztą, domyślałem się, że coś takiego nastąpi i w dniu startu starałem się spać jak najdłużej. Widocznie było to za mało. Droga była prosta, asfalt równy i nic, kompletnie nic tą boczną drogą nie jechało. A nawet gdyby jechało, to miałem już tak wyczerpane zmysły, że usłyszałbym to auto z kilometra.

Zamknąłem więc oczy i liczyłem 1, 2, 3... Otwierałem oczy, sprawdziłem, czy nic nie jedzie i znów... Zamknąłem oczy i liczyłem tym razem dłużej 1, 2, 3, 4, 5...

Biegłem i liczyłem. Czasem udawało mi się doliczyć nawet do dziesięciu. Na więcej nie mogłem sobie pozwolić. Za bardzo się bałem, że zbieżę z drogi i wpadnę do rowu.

– Czy można zasnąć w biegu? Czy można się wyspać, biegnąc? – ciągle pytałem sam siebie.

Dobiegłem do Wilkanowa. Trasa skręciła najpierw w prawo, a następnie w lewo przez most. Zacząłem biec pod górkę, potem truchtać, by w końcu przejść do marszu.

– Jest zbyt stromo na bieganie, szkoda – myślałem. – Taki piękny asfalcik, a nie da się wykorzystać.

Jednak po minięciu cmentarza znów dało się biec, a oczy ponownie upominały się o odrobinę snu. Dotruchtałem pod małą górkę, aż do skrzyżowania z drogą krajową. Było je widać już z daleka. Mały świecący punkcik przechadzał się z jednego końca skrzyżowania na drugi.

– Ktoś się zgubił – pomyślałem początkowo – albo czegoś szuka.

Byli to jednak policjanci zapewniający uczestnikom bezpieczną przeprawę przez największą drogę w okolicy. Gdy się zbliżyłem, jeden z nich wszedł na drogę, na środek skrzyżowania i obserwował, czy nic nie nadjeżdża, w każdej chwili gotowy zatrzymać samochód, bym bezpiecznie dotarł na drugą stronę.

– Dziękuję – powiedziałem.

– Bardzo proszę i powodzenia – odpowiedział. Podniósł kciuk do góry, dając mi do zrozumienia, że odwałam kawał dobrej roboty.

Kiwnąłem głową i przebiegłem na drugą stronę, wpadając do niewielkiego lasku.

– Ha, muszą pilnować, żeby nikt nie narobił sobie kłopotów – zacząłem wewnętrzne rozważania. – Pewnie większość z uczestników jest już na etapie zasypiania i nie każdy byłby w stanie bezpiecznie przejść przez taką drogę. Założę się nawet, że gdyby skrzyżowanie nie było oświetlone przez policję, to znaczna część z nas wcale by go nie zauważyła. Mogłoby być groźnie.

Trasa nagle skręciła ostro w prawo.

– Ups – zaświeciło mi się czerwone światelko – znów zaczynam myśleć o czym innym i zaraz gdzieś się zgubię.

Leciałem polną drogą wzdłuż krzaków zarastających jej prawe pobocze i ponownie zrobiło się groźnie. Zastanawiałem się, czy coś zaraz z nich na mnie nie wyskoczy. Może jakaś następna krowa? Jednak zamiast krowich oczu zobaczyłem w oddali zbiegowisko małych, poruszających się nerwowo światełek. Część z biegaczy stała na skrzyżowaniu z polną drogą prowadzącą w prawo do jakichś zabudowań, część stała pod drzewem znajdującym się jakieś 100 metrów od nas przy tej właśnie drodze, a jeszcze inni latali po okolicznych polach.

– Co się stało? – spytałem.

– Nie możemy znaleźć trasy i chyba się zgubiliśmy.

– Dlaczego? – spytałem zdziwiony.

– Na tamtym drzewie, pod którym stoją ci kolesie, jest oznaczenie czerwonego szlaku, ale jak się pobiegnie w tamtym kierunku, to oznaczenia znikają. Nie masz może zegarka z trakiem?

– Nie mam – odparłem – biegł za mną facet, który miał. Jak mu skurcze pozwolą, to może zaraz tu dotrze. A oznaczeń trasy nie ma?

– Jakby były, to byśmy tu nie stali, nie? Może ktoś pozrywał. A nie masz mapy?

– Mapy?

– No, mapy. Masz?

– To jest was tu razem z dziesięciu, prawie czołówka wyścigu i nikt z was nie ma nawet mapy? – zapytałem zdziwiony.

– No, nie mamy.

– A ja mam – powiedziałem z przekąsem i z nieskrywaną dumą sięgnąłem ręką do bocznej kieszeni plecaka po mapę.

– Kurczę, ale jaja – pomyślałem – przecież miałem tej mapy nie brać ze sobą. Bo i po cholere komu mapa, jak trasa jest tak świetnie oznaczona.

Rozłożyliśmy naprędce mapę.

– Długopole, gdzie jest to cholerne Długopole.

– Czeka, jest tutaj – ktoś w końcu je znalazł.

– To gdzie my jesteśmy?

– Czeka, tu jest skrzyżowanie oznaczone wykrzyknikami, na którym stali policjanci, więc my będziemy gdzieś tutaj.

– Więc my musimy biec... czeka...

– Prosto, powinniśmy dalej biec prosto – powiedziałem.

– Dokładnie – powiedział kolega stojący obok – cały czas prosto, tak jak biegliśmy. To oznaczenie szlaku jest bez sensu. Drzewo stoi 100 metrów od szlaku, a ktoś na nim oznaczenia maluje.

– Nie skręcamy, lecimy dalej – krzyknął ktoś głośno do chłopaków stojących pod drzewem.

Ruszyliśmy dalej. Znów w ogonku, jak na początku biegu. Z tym wyjątkiem, że tym razem miałem szansę nadrobić parę ładnych pozycji.

– Wystarczy bardzo szybko zrobić przepak w Długopolu – już ustawiałem taktykę – zmienić buty, koszulkę i od razu zmykać. Ludzie na pewno na chwilę się rozsiądą. Dla nas była to w końcu jedna czwarta trasy, a dla tych biegnących SuperTrail z metą w Kudowie to połowa. Łatwo będzie przeskoczyć parę oczek do góry – zacierałem ręce.

Wpadliśmy wszyscy razem do Długopola i po chwili minęliśmy bramkę parku, w której znajdował się przepak.